

SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. K. Grus.



Gdańsk a my. Nasze energiczne stanowisko wobec opornego Gdańska.



STRZAŁY W LOZANNIE.

Sowieckim dyplomatom poświęcam.

Choć im uległa Syberja i Batum,
Choć ujarzmili Rosji obszar cały,
Wielkie, potężne, nieodporne fatum
Daje im ciągle znaki i sygnały,
A śmierć swą ręką, groźnie wyciągniętą,
Wciąż przypomina im swoje „memento“.

Poczuli nieco jej palce kościste
Lenin i Trockie w boleściach choroby,
I wciąż wpisuje w swoją długą listę
Coraz to nowe w Bolszewji osoby,
A więc co drugi znaczniejszy dygnitarz
Strażami cały obstawia kurytarz.

Ale kosztu i nie odkropisz winem,
Ani odstraszysz nabitą dwururką.
Jeżeli zechce przelezie kominem,
Albo przecisnie się od klucza dziurką
I pojawiona bez szmeru i stuku
Powie ci słodko: towarzysze a kuku!

A czy to będzie w Moskwie czy w Lozannie,
Dokąd swą duszę czarną czasem wozisz,
Próżno przymilasz się kościstej pannie,
Próżno jej flaszkę szampana zamrozisz,
Czyś dyplomata czy sowiecki kupczyk
Powie ci słodko: choć do mnie gałubczyk!

I choćby z pompą grzebano w Berlinie
Lub nawet w Kremlu kostusi ofiary,
Ten jeden odzew przez świat cały płynie,
Ten jeden odzew przelata obszary
Od Barcelony aż po polski Kraków:
Trzeba uwolnić świat od tych łajdaków!!

Henryk Zbierzchowski.

Odznaczony.

Pan prezes Franciszek Salezy Waselina dopiął swego.

Dopiął po kilku miesiącach uciążliwej bieżącej, mordęgi, wystawiania w przedpokojach różnych nad-prezesów, zabiegów i wybiegów — aż wybiegał sobie Polonię Restituta.

— Wprawdzie to tylko polski order, ale zawsze order! — myślał, przeczytawszy o swoim szczęściu w miejscowej szmatce gazeciarskiej. — Order, to zawsze order!

Zdawałoby się, że radość i szczęście prezesa Waseliny z powodu tego odznaczenia powinny były wypełnić mu całą duszę od nagniotków po nieliczne cebulki włosowe — że ów tryumf odniesiony nad całą czeredą mniej szczęśliwych współzawodników, powinien być go napęlić dumą niebiosę — że ów order, o którym śnił nieraz w czasie niespokojnych nocy, da mu ten rzadki moment szczęścia, co rozkrólowia się w sercach ludzkich w chwili ucieleśnienia się snów wymarzonych... Zdawałoby się...

Pan prezes Waselina nie odczuwał jednak tego wszystkiego! Powiedzmy otwarcie: Pan prezes Waselina czuł się w tej chwili bardziej pokrzywdzony przez Ojczyznę, aniżeli kiedykolwiek... Czuł nawet, jak fala goręczy zalewa mu najsubtelniejsze czułki jego prezesowskiej jaźni, a zniechęcenie owija go wiotkim oprędem rozczarowania...

W gorączce starań i zabiegów o ten order, zapomniał pan prezes o jednym, a mianowicie o tem, że przyjść musi bolesna refleksja, która mu przypomni to wszystko co utracił, zyskując order Restituty...

A utracił pan prezes dużo... bardzo dużo!...

Stojąc przed pluszowem pudełeczkiem, w którym mieścił się ów otrzymany order, doznawał pan prezes Waselina przykrego uczucia człowieka, któremu złośliwie zburzono wielopiętrowy gmach, stawiany mozolnie przez całe szeregi lat i kazano mu na nowo zacząć pracę od budowy najniższych fundamentów.

Pan prezes był patriotą małopolskim — dobrym patriotą! Kochał Ojczyznę nadewszystko, ale niechże nikt nie wymaga od człowieka więcej, aniżeli skondenzowany do najwyższej potęgi patriotyzm wytrzymać może!

Jednym orderem „Polonia Restituta“ odebrano dobremu Polakowi i patriocie wszystkie owoce jego trzydziestoletniej pracy dla Ojczyzny, — przekreślono jego autorytet, wywalczony w ciężkiej służbie narodowej pod jęzkiem zaboru austriackiego, zniwelowano go z ludźmi, którzy dotychczas prócz Restituty żadnych odznaczeń nie posiadali i kazano mu na

nowo dosługiwać się znaczenia i orderów...

A miał tych orderów pan prezes Waselina... Mocny Boże... Toć to tak precudownie przesuwa się przed oczyma duszy, jakby to dopiero wczoraj było... Z przedziwną plastyką widzi się pan prezes gdy jako delegat powiatu wita na dworcu Jego Cesarsko Królewską Wysokość Erzhersoga Fryderyka i Lokaja Jego Cesarzowskiej Wysokości Johanna... Widzi się w ciemno-zielonym „amtsrocku“ na którym błyszczą ordery — aż dusza się raduje i serce skowycze z radości!... Wiszą... Ach, jak one wiszą!... Naprzód „Leopoldskreuz III. Klasse“ nakryty brzeżkiem „Erinnerungsmedaile“ na czarno-żółtej wstędze, potem „Kaiserjubiläumsmedaile“ na trójkacie więcej żółtym jak czarnym, „Zivilverdienstkreuz“ pobrzękuje lekko o „Rotes Kreuz Medaile“ i „Karlsruhpenkreuz“ na czerwonej wstędze... A potem... Potem ten najzaszczytniejszy z najzaszczytniejszych orderów zagranicznych!... „Preussischer Roter Adler XXV-ter Klasse“ za „dzielne współdziałanie w etapie z armją sprzymierzonych Niemiec“... Boże... Boże!...

A teraz?... Teraz za to wszystko może sobie powiesić na cywilnym fraku jeden jedyny niepozorny order „Polonia Restituta“!...

Pan prezes Waselina czuje jak goręczy zalewa mu serce i że po trzydziestu latach służby narodowej rodzi się w nim rodzaj buntu przeciw Ojczyźnie.

— Nie dziwię się teraz wcale bolszewikom! — myśli pan prezes Waselina. — Nie dziwię się teraz, że jesteśmy zagranicą nie lubiani... Dlaczego ten szowinizm prześladowa nas jak zmora i nie pozwala na skonsolidowanie naszych sił narodowych?... Dlaczego wolno w Polsce nosić order Jugosławji, Francji, Anglii czy Japonii — a wyklęto order nadane przez Austrię lub Niemcy?... Dlaczego? Czy uznanie zdobyte w ciągu lat za gorliwą służbę narodową pod zaborem austriackim, pruskim czy rosyjskim ma być zupełnie zanulowane dla kaprysu i fochów pana



Focha?... Niechże przynajmniej dadzą jaką rekompensatę! Biedna ta nasza Ojczyzna i biedni jej synowie!...

Pan prezes Waselina czuje, jak żal poczyna mu łyż wyciskać z oczu...

— Niechby tak Francuzi spróbowali wyrzec się swoich orderów lub Anglicy!... Z pewnością wybuchłaby tam rewolucja — myśli gorączkowo pan prezes. — Z całą pewnością! Przecież to jest zwyczajne świństwo odbierać komuś orderzy zasłużone w służbie narodowej legalnie i uczciwie! Gdzie tu sens? Czy na tem polega nasza demokracja? Czy nasz rząd sądzi, że „Polonia Restituta“ zastąpi choćby taki „Zivilverdienstkreuz“, nie mówiąc już o „Leopoldskreuz III-ter Klasse“?... Paradne! Przecież mamy do licha jakieś ordery „Białego Orła“, „Krzyże walecznych“, „Virtuti militari“, „Legię honorową“ i wiele innych, któreby od biedy mogły zastąpić zanulowane przez Polskę orderzy zaborcze. Dlaczego ma patriota polski wypróbowany w służbie Ojczyzny nosić jeden, z trudem zdobyty order, kiedy swą pierś ozdobić może całym szeregiem wysokich odznaczeń. O, jakby to było pięknie...

Panu prezesowi Waselinie przychodzi nagle jakaś myśl do głowy, pod której wpływem występują mu na policzki ceglaste rumieńce i zrywa się z fotelu jakby podrzucony sprężyną.

— Zobaczmy jakby to wyglądało — szepcze w nerwowej drżączce, otwierając zaszewiałym kluczkiem starą szafę. Zobaczmy... — Choć raz przed śmiercią... Choć raz...

*

Pan prezes Waselina stał przed taflą dużego lustra, przeglądając się w niem z lubością. Był ubrany w swój już nieco za ciasny „Amtsrock“, a na piersi wisiały w błyszczącym szeregu: „Leopoldskreuz III. Klasse“ nakryty brzeżkiem, „Erinnerungsmedaile“ na czarno-żółtej wstędze, „Kaiserjubiläumsmedaile“ na trójkacie więcej żółtym jak czarnym, „Zivilverdienstkreuz“ pobrzękujące lekko o „Rotes Kreuz Medaile“ i „Karlsruhpenkreuz“ na czerwonej wstędze...

Oczy prezesa Franciszka Salezego Waseliny jaśniały z tłumionej radości wewnętrznej i niewypowiedzianego szczęścia.

— A teraz — mówił sam do siebie — założymy jeszcze te dwa odznaczenia zagraniczne: „Preussischer Roter Adler XXV-ter Klasse“ i „Polonia Restituta“...

*

Prezesa Franciszka Salezego Waselinę znaleziono nazajutrz nieżywego przed lustrem.

Lekarz dzielnicowy orzekł, że szlag go trafił z nadmiernej radości i wielkiego wzruszenia.

RAORT.



Dziesięcioletnia dziewczyna: Życie jest brudne i nudne — jutro muszę się otruć!...

Marszałek Foch we Lwowie.

Pan hofrat.

— Panie nadradco, ten mundur błękitny generalski! Taki piękny — całkiem przypomina mi naszych generałów.

*

Jednego z adjutantów marszałka bawił po drodze zagorzały endek.

— Proszę państwa, bardzo dobrze mi się składało: wyjaśniać zacząłem mu nazwy ulic, którymi przejeżdżał.

Rue Prince Sapieha, księcia-biskupa-senatora, *rue Kopernic*, mój „souslieutenant” ze zrozumieniem kiwał głową, potem sam przeczytał „ulica Słowackiego, ah, je sais, *rue de la Tchèque slovaquie*”, Marszałkowska: „*du Maréchal*” oczywiście Foch. Aż tu na nieszczęście wjeżdżamy na Jagiellońską, Legionów i Rutowskiego! Proszę so-

bie wyobrazić, co ja mu miałem mówić o idei jagiellońskiej, o pomysłach legionowych i o tym austrofilu Rutowskim! Napociłem się, aby zwrócić uwagę jego na inny temat.

*

Pewien wyższy wojskowy ze świty marszałka, zapytał się, jak zwie się po polsku „Leopol”.

Usłyszawszy wyraz „Lwów” próbował powtórzyć, lecz dał za wygraną ze słowy:

— Za trudny orzech do zgryzienia, ten polski Léopol.

— To też go nikt nie zgryzł!

*

Marszałek Foch, dość strudzony rozlewną polską gościnnością, oglądając Lwowianki, te młode i najmłodsze, uśmiechnął się pod gęstwą osędziwych brwi i rzekł:

— Hm, do Lwowa trzeba mię było przywieść, zanim tak zmęczony uczułem się!...

*

Francuski gość miał rzec w poufnej rozmowie w gmachu Uniwersytetu, patrząc na park Kościuszki:

— Francja cała wie, że macie — serce. W Warszawie dowiedziałem się, że jesteście ogniskiem — rozumu.

Ale tu dopiero, patrząc na tę zielen, w której tonie cały Lwów, widzę, że macie — płuca.

Lwów — to tegie miasto.

*

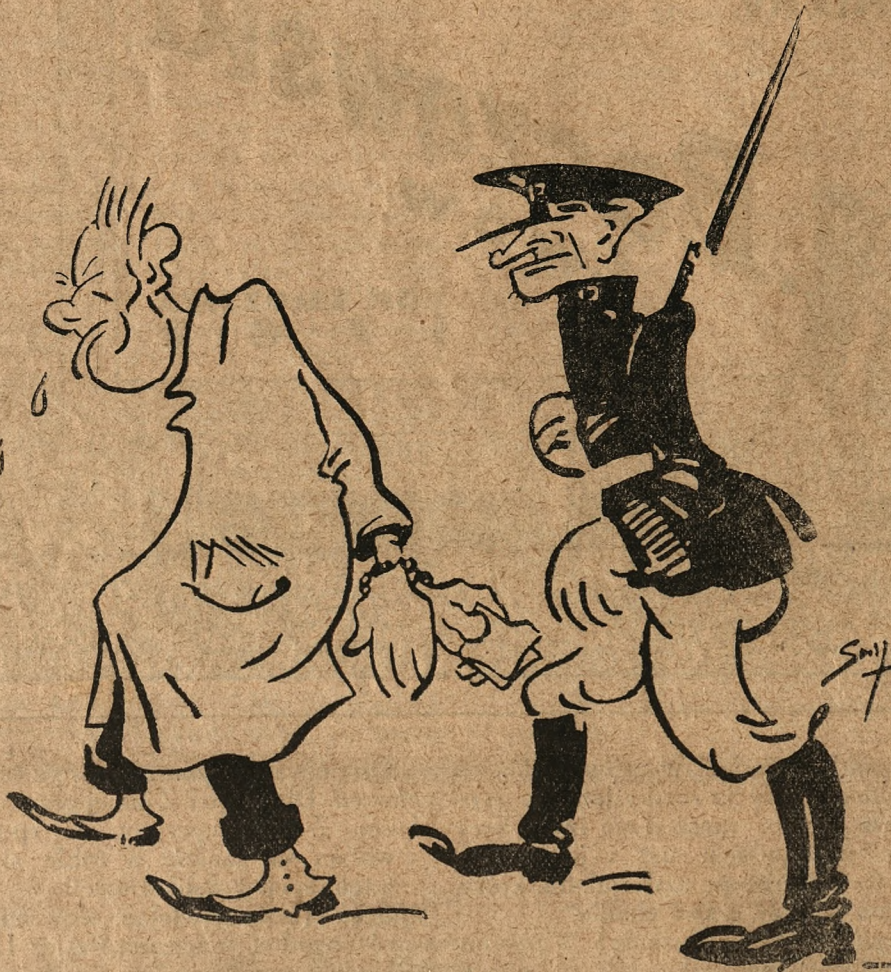
Pech chce, że imię i nazwisko zwycięzcy z nad Marny zaczyna się od F.

W złotej więc księdze doktorów lwowskich „honoris causa” będzie zapisany Foch obok... Fryderyka z śp. A. O. K.

pi.

Dodatek „SZCZUTKA“

Cena ogłoszeń wynosi 1,200.000 Mp. za całą stronę. — Mniejsze ogłoszenia w stosunku do pomiaru strony.



W dniu odsłonięcia pomnika Księcia Józefa w Warszawie, policja postarała się o doskonałe „miejsca siedzące“ dla kilku komunistów.

Największa konkurencja Szczutka.

Największą konkurencję sprawiają „Szczutkowi“ nie wychodzące w Warszawie pisma humorystyczne, (a jest ich około dwóch tuzinów!) ale — polityczne pismo codzienne „Express Poranny“. Chcąc się uśmieć i ubawić, należy czytać ten dziennik, a szczególnie nagłówki poszczególnych „artykułów“. Oto przykład z numeru 113

z dnia 25. kwietnia b. r.: Donosząc o tem, że w rozprawach nad projektem ustawy w przedmiocie zwalczania chorób wenerycznych, komisja zdrowia publicznego roztrząsała zagadnienie, kto ma pokrywać wydatki połączone z utrzymaniem instytucji, mających na celu zwalczanie chorób wenerycznych, „Express Poranny“ zamieszcza następujące słowa w nagłówku:

„Nie-rząd, Samo-rząd, Rząd
Polska nierządem stoi
Samorządy nie chcą ponosić konsekwencji nierządu
Musi to czynić za nie rząd
Dlatego jest konieczne ministerjum zdrowia“.

Ma r.

Rząd popiera przemysł.

— Nie wiesz dlaczego rząd dotychczas nie drukuje nowych banknotów na 100.000, 250.000 i 500.000 mk.?

— Rząd dlatego drukuje duże banknoty na drobne kwoty, wydając na to miliardy dziennie, bo musi przecież popierać przemysł papierowy!

Z petycji pracowników państw.

(Autentyczne).

W podaniu do jednego z naszych ministerstw pracownicy państwowi, prosząc o podwyższenie uposażenia, zamieścili następujący ustęp:

„Jeżeli się zważy, że krowa głodna mleka dawać nie może, że pracownik państwowy jest *przytem* człowiekiem, który wprowadzić więcej jak bydlę wytrzymać potrafi, który wszakże podlega i ludzkim niedomaganiom...“

Podśłuchane.

— Wychrzciłeś się?
— Tak, ale wewnętrznie zostałem żydem.
— Zewnętrznie też!

Mar.

Żądajcie pocztówką, nasz najnowszy cennik wszelkiego rodzaju manufaktury Ekspedycji przesyłek pocztowych

„Nadzieja“ — w Łodzi

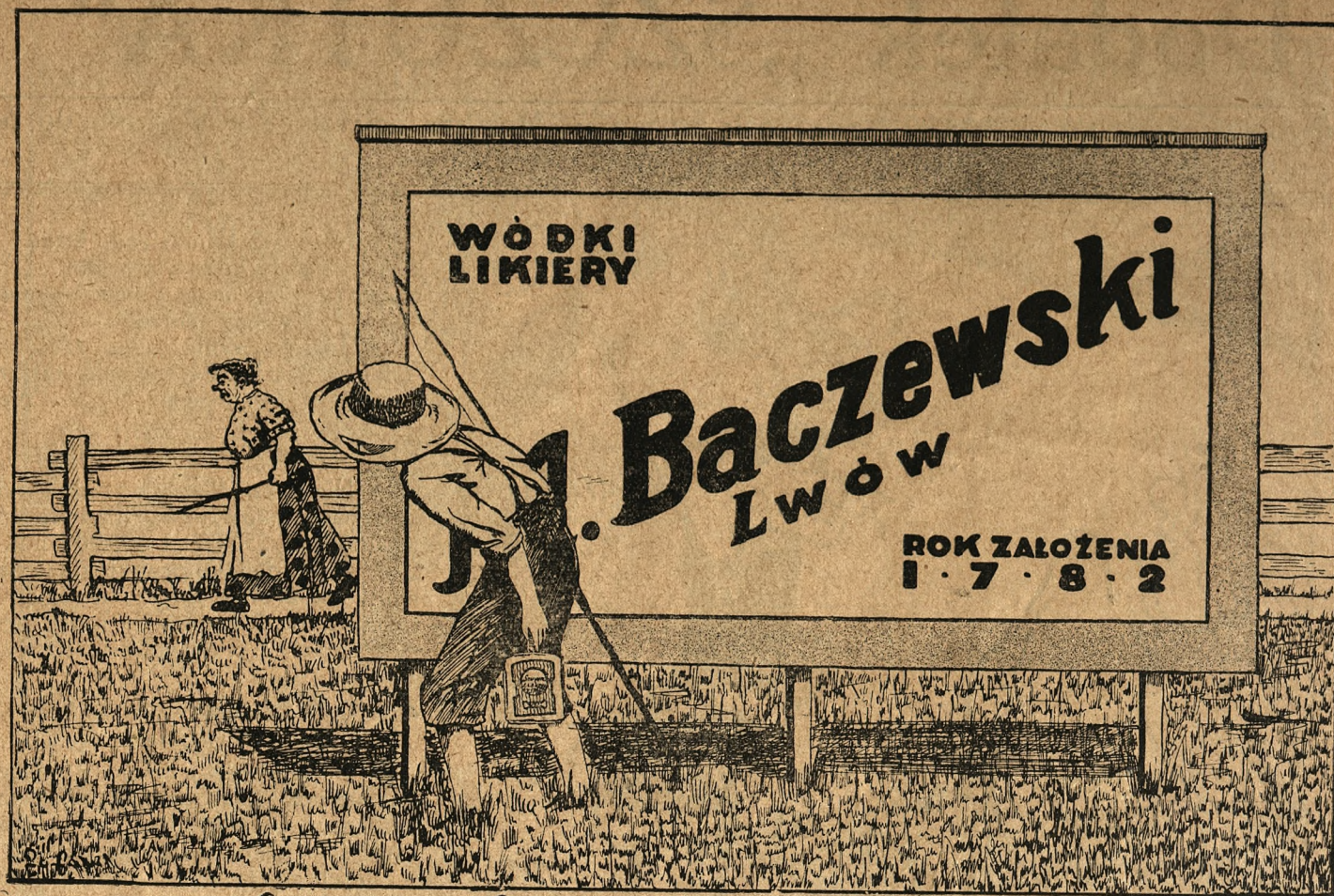
ul. Kilińskiego 40.

który natychmiast będzie wysłany **zupełnie bezpłatnie** i przyniesie Szan. P. dużo korzyści.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

„EROTYKI“

Nakładem Spółki Nakładowej „Odrodzenie“ — Wszędzie do nabycia.



Odstępstwo od kuracji.

(Godzina szósta. — Półcień lampy chińskiej, oświetlającej mały pokój. Kanapa zarzucona kołdrami, futrami, poduszkami i haftowanymi prześcieradłami, roztacza skandalicznie swe leże w cieniu różowym. Lusja z ramionami podłożonymi pod tył głowy, pogrążona jest w jakimś marzeniu. Marceli, siedząc zgarbiony jak pisarz, zajada olbrzymie ciastko z kremem, leżące na małym talerzyku.)

Marceli (z pełnemi ustami). Właśnie przed chwilą zapytywałem siebie o coś... Słyszysz?

Lusja (jakby zbudzona nagle). Przed chwilą, kiedy?

Marceli. Właśnie wtedy, kiedy myśmy... W tych chwilach przychodzi mi zawsze myśli głupie...

Lusja. Wcale się temu nie dziwię.

Marceli. Zapytywałem siebie, dlaczego ty mnie kochasz.

Lusja. Ja również siebie o to pytam...

Marceli (rozpoczynając drugie ciastko). Wiem dobrze, że nie jestem wstrętny...

Lusja. Owszem! Jesteś wstrętny, gdy się napychasz ciastkami z kremem i rumienisz się w nich aż po oczy. Widok twego apetytu przyprawia mnie o nudności; ty jesz jak żarłok, rozdymasz policzki pokarmem. A w chwili rozkosznego spokoju, następującego po miłości...

Marceli. O, ślicznie to powiedziałaś!..

Lusja (wzruszając ramionami). Nie

posiadasz żadnej wrażliwości!... — Podczas gdy ja rozmyślam, ty gryziesz jabłko, masz dwie łyżki z kremu w kącikach ust i ja myślę: „I to ten grubas, materialista, który mnie ścisnął przed chwilą“...

Marceli. Zupełnie słusznie! Wgryzam się w twoje ciało, jak w dobre ciastko: skóra twoja jest jak krem, a poziomka ust twych wygląda, jakby wyszła z pączka...

Lusja. Poeta! Jeślibym ci pozwoliła mówić dalej, tobyś mnie porównał zaraz do pasztetu z wątróbek gęsich!...

Marceli. Mam dość taktu! (Chodzi po pokoju ubrany w pyjamę bezczelną). Czy nie wiesz, gdzie ja schowałem moją butelkę wina?

Lusja. Będiesz teraz pij?

Marceli. Umieram z pragnienia! Gdy nie jesteś ze mną o tej porze, zawsze już przynajmniej z godzinę biegam od kawiarni do kawiarni, by zwilżyć sobie gardło suche przezrazliwie. Nie życzysz sobie chyba, bym upadł tu, brzuchem do góry, jak gąsienica na pustyni. (Znajduje swoją butelkę wina i nalewa sobie pełną szklankę.) Naprawdę ty nie będziesz piła?

Lusja. Wszakże wiesz dobrze, że jestem na kuracji. (Wzrusza ramionami.) Ach, mój biedny Marceli, codziennie ty zabijasz miłość naszą!

Ona nie wytrzyma... umrę z tego!... **Marceli**. Dlaczego? Z jakiej przyczyny?

Lusja. Z tej przyczyny, że spodziewałam się znaleźć w tobie skarby inteligencji i delikatności.

Marceli (pozostawiając słowom ich różnorodne znaczenia.) Ależ Lusiu, kiedy poznaliśmy się na dobre, to przecież znaliśmy się już dawniej.

Lusja. Nie. Spodziewałam się, że jesteś inny... Paliłeś tylko perfumowane papierosy i pierwsze rendez-vous naznaczyłeś mi na Wystawie.

Marceli. Gdzie, mimo niesamowitej godziny, spotkaliśmy cztery pary nieregularne, szukające cichego ustronia, podobnie jak my.

Lusja. I wtedy spotkało mnie pierwsze rozczarowanie! Pamiętasz ten biblijny obraz „Gody w Kanie Galilejskiej“. Ileś ty głupstw nagadał! Pomieszałeś ten cud z cudownym połowem ryb!

Marceli. Bo zawsze to była jakaś uczta!... Ale mniejsza o to! Aby cię tu przyciągnąć kazałem ten pokój, cudem wyrwany z paszczy wieloryba, umeblować w stylu nowo chińskim, tak, że się nic jasno nie widzi! Co do mnie, to ja lubię mahoń politerowany, duże okna, obrazy pełne słońca, materiały jasne, a z twojego powodu żyję w półcieniu, między kością słoniową a hebanem, poza firankami w stylu

pogrzebowym. Zapytywałem siebie dlaczego ty mnie kochasz, ale czy-
niąc inwentarz naszej miłości, wi-
dząc, że żadno z nas nie może nic
drugiemu zarzucić. Pragnę cię bar-
dzo szczerze, a są chwile, kiedy nie
wątpię o twem zadowoleniu...

Lusia. Nie można ci zarzucić braku
zarozumiałości!

Marceli. I poco żądać od czegoś, co
może uchodzić za miłość, i które
wystarcza samo sobie, furę rozma-
itych wymagań, nie mających naj-
mniejszego sensu, a jeszcze pod-
kreślających różnicę naszych upo-
dobań? Ty bawisz się w kobietę
intelektualną, dla której ciało niema
najmniejszej wartości. Ale ze mną
to tak nie idzie, moja Lusięńko
najdroższa! Gdyż zaledwie opadną
twoje zasłony z ciebie, natychmiast
stajesz się nadzwyczajną bachantką
i w tym właśnie momencie rozu-
miemy się cudownie. Widzisz, ko-
chanie, trzeba, byśmy tu wchodzili
oboje, jak dwoje pierwszych stwo-
rzeń boskich do ziemskiego raju.
Ja jestem Adamem, któremu jabłko
dało zdrowie i siły parobczaka
wiejskiego; a ty... ciebie wąż posłał
do wypychacza zwierząt. Wróciłaś,
ale zrobiona modnie, podczas gdy
jesień zabrała mi dawno mój liść
figowy.

Lusia (śmiejąc się). Ależ ty pleciesz
głupstwa! Masz na sobie cudowną

pyjamę za pół miliona, której za-
pewno nie zerwałeś na drzewie
wiadomości dobrego i złego...

Marceli. Przysięgam ci, że jestem go-
towy, by ją zrzucić... Rozpiera mnie
ten nadmiar zdrowia i apetytu...
tak, jak i ciebie zresztą! Tylko, że
ty się tego wstydzisz. Ty nie jesz
ciastek, bo się boisz utyć, wierzysz
w medycynę, udajesz, że interesuje
cię nowa literatura z futuryzmem
i dadaizmem, nowa sztuka z eks-
presjonizmem i kubizmem itd. Jedz
moje dziecko, używaj! Tak, jak lu-
bisz, kiedy natura i nerwy są sil-
niejsze od twojej godności...

Lusia. Idjota!

Marceli. Powiem ci teraz rzecz stra-
szną. Jeden z moich znajomych
czeka na mnie w pokoju obok.

Lusia. Słyszał mnie?!...

Marceli. Zapewne... A może nawet
poznał cię po głosie...

Lusia. O, to niemożliwe!... To byłoby
naprawdę straszne!...

Marceli. To nieprawda, zmyśliłem so-
bie taką historyjkę, ale przyznaj
się, że byłaś w porządnym strachu.
Gdyby się tak dowiedziano, że to
nieprzenikniona pani Lusia...

Lusia. Nieprzenikniona! Ty jesteś je-
dyny, któremu nie wolno nic mó-
wić...

Marceli. Dlatego, że są godziny, kiedy
zrzucasz z siebie całą powagę i do-
stojność...

Lusia. Gdyby tak wiedziano, jaka ja
jestem, gdy jestem tutaj!

Marceli. Byłoby wielu chętnych od-
wrócenia formuły Łazarza: „Połóż
się i... idź!...”

Lusia. Ty nie masz dla mnie żadnego
szacunku!

Marceli. Nie! Słucham jak mówisz
bez wielkiego podziwu, a stajesz
się mi istotnie sympatyczną, gdy
już nie przestajesz wiedzieć co mó-
wisz.

Lusia (rozbrojona.) Dobrze, daj mi
jedno ciastko... (Z ustami pełnemi,
obejmując Marcelę za szyję.) Py-
talesz mnie przed chwilą, dlaczego
cię kocham... Słuchaj więc; wsty-
dzę się przyznać przed tobą... ko-
cham cię... kocham... bo pachniesz
dobrym humorem, wesołością, my-
dłem, wodą kolońską i dlatego, żeś
młody, blondyn i okrągłutki, jesteś
jak chleb świeży, dobrze wypie-
czony...

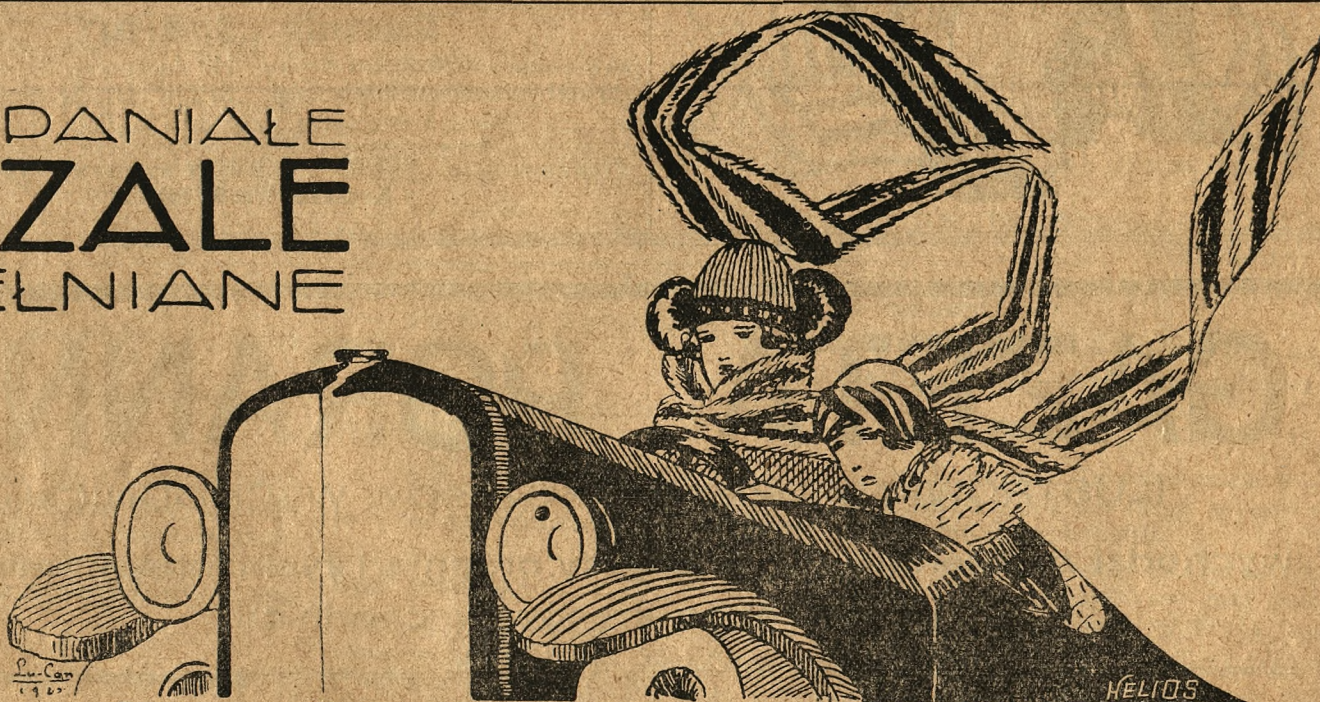
Marceli. Ani słowa więcej! Nie wolno
ci jeść chleba!

Lusia. Cicho! Nie mówię też o tem
nikomu! Za chwilę stanę się znów
godną, nieprzeniknioną panią Lud-
wiką, całą żyjącą zewnętrznie, dla
dekoracji, dla reprezentacji, słucha-
jącą rozkazów mody i doktora...

Marceli. Tak... (Tuli ją do siebie.)
Ale ja jestem odstępstwem od ku-
racji!...

Cri.

WSPANIAŁE
SZALE
WELNIAŃE



STWORŃSKIEGO-SYNOWIE
LWÓW: PL. MARJACKI 10

„GAZETA BANKOWA”

Największe w kraju czasopismo ekonomiczne

WYCHODZI DWA RAZY KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKCJA: Lwów, ul. Akademicka 4. — Telefon Nr. 581. — ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Podwale 3.

PRZEDPŁATA: Kwartalnie 18.000 Mkp.

Prenumerata zagraniczna o 100% drożej.



„SPORT”

Urzędowy organ Polskich Związków: Lekko-atletycznego, Pływackiego, Szermierzy, Polskich Towarz. Atletycznych, Łyżwiarzkiego, Lwowskiego Zw. Okr. Piłki Nożnej, Tow. Zabaw Ruchowych we Lwowie i Centrali Akademickich Związków Sportowych w Warszawie.

Wydawca: Spółka Akc. Wyd. Redaktor nacz. prof. R. Wacek

Cena numeru 2.000 Mp., Prenumerata kwart. 24.000 Mp.
miesięczna 8.000 Mp.

Adres Wydawnictwa: Lwów, ul. Zimorowicza 5. Tel. 581.

Rocznik „Sportu”

zawierający 626 stron druku, 440 ilustracji, 31 karykatur,
do nabycia w Administracji „SPORTU” w cenie 25.000
Mp., z przesyłką pocztową 27.000 Mp.

Prenumerujcie „SPORT” — jedyny sportowy tygodnik na
Kresach Wschodnich.

GAZETA PORANNA

ILUSTROWANY DZIENNIK KRESÓW WSCHODNICH

wychodzi codziennie, dając bogaty przegląd życia intelektualnego
i politycznego kresów wschodnich.

Prenumerata miesięczna 16.000 — Mkp. — Z dostawą na miejscu lub
z przesyłką pocztową 18.000 — Mkp. — Za granicą 20.000 — Mkp.

Redakcja: Lwów, ul. Chorążczyzny 31. — Administracja ul. Sokoła 4.
Telefon Redakcji 15. Telefon Administracji 291.

komunistycznych.

Artykuł 96 ustęp 2 ustawy z dnia 17. marca 1921, zawierający Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, postanawia dosłownie:

„Rzeczpospolita Polska nie uznaje przywilejów rodowych ani stanowych, jak również herbów, tytułów rodowych i innych“...

Wyraźne to postanowienie Konstytucji naruszane jest stale przez wielką część ludności Rzeczypospolitej, jej prasę, a w ostatnich czasach nawet przez Rząd, ustanowiony przez będące chwilowo u steru partje burżuazyjne.

Świeży i jaskrawy dowód naruszenia postanowień Konstytucji Rzplitej Polskiej miał miejsce z okazji... odsłonięcia pomnika Józefa Poniatowskiego.

Już na wiele tygodni przed odsłonięciem pomnika, prasa mieszczańska i szlachecka, omawiając je, używała stale zwrotów: „Pomnik księcia Józefa” lub „Pomnik księcia Poniatowskiego”. Następnie dnia 3. maja br., podczas uroczystości, związanych z przyjazdem generała Focha i odsłonięciem pomnika, zastępcy Rządu, wojskowości, nauki, sztuki, prasy itd. we wszystkich mowach nazywali Józefa Poniatowskiego również „księciem” lub „księciem Józefem”. Nie zawahano się nawet na samym pomniku umieścić napis: „Xsięciu Józefowi Poniatowskiemu”.

Podpisani zapytują przeto:

1. Czy fakta powyższe znane są Rządowi?

2. Czy Rząd skłonny jest zanulować sprzeczny z Konstytucją zarządzenia i czy gotów jest przestrzegać w przyszłości bezwzględnie zawartych w konstytucji zasad?

Przepisał Mar.

Z Białegostoku.

Jakie jest podobieństwo między Białymstokiem a... Paryżem?

— Paryż i Białystok mają swego — Ritza.

— A jaka różnica?

— W Paryżu nie robią z owsa ryżu, a w Białymstoku tyle sprzedają i kupują codzień rzeczy nieistniejących, że nie tylko niema różnicy między owsem a ryżem, ale i między panną a mężatką.

*

Przejezdny widzi napis: „Ulica Zamenhofs”.

— Kto to był ten Zamenhof?

— Ech wajs nyszt...

Drugiego pyta.

— A to proszę szanownego pana, ten, który wymyślił żydowski język!

Dla wyjaśnienia dodajemy, że Dr. Zamenhof jest twórcą... esperanto.

*

Powojenna młodzież.



Dwunastoletni młodzian: Psiakrew!... Dość już mam tej samotności — muszę się ożenić!...

Jestem u Ritza. Ceny operowe, jakość potraw — wróżąca operację.

Jedni goście piją na umor, drudzy śpiewają jakieś pieśni cikliwe.

Towarzysz mój tłumaczy:

— Ci co tak popijają, to Rosjanie, a ci co śpiewają, to Niemcy. Żydów zaś poznasz, że mówią, po rosyjsku.

— No, a Polaków?

— Po tem, że ich tu niema, bo nie mają pieniędzy.

*

Zmęczony idę wieczorem do parku Sienkiewicza.

— Czy znajdę miejsce?

— O tak. Wszak w górnych alejach świecą się latarnie! Robinfather

Nasi erudyci.

Memu przyjacielowi Dziuniowi ogromnie spodobał się Mereżkowski. Z zapalem czytał jego powieści o carach, o Apostacie, Lionardo da Vinci i t. d.

Razu pewnego pyta się go ktoś, jaki powieściopisarz podoba mu się najbardziej.

— Mnie? Pisarz, ma takie nazwisko jak ozdoba majtek! No... no...

— Haft? Koronka?

— Nie!

— Richelieu? Valenciennes?

— Też nie!

— No jakżeś?

— Niech mi pan przypomina.

— Mereszka?

— Tak, tak! Mereżkowski!

Robinfather.

Z cukierni.

Dwaj gentlemen wchodząc, kłaniają się równie wytwornie ubranym pannom.

— Pan ich zna?

— Oczywiście. To narzeczony mojej utrzymanki, a ten drugi to utrzymanek mojej narzeczonej.

— Jesteśmy więc skuzynowani. Ten bowiem to pierwszy mąż mej żony, a radbym, aby ów drugi był jej... trzecim mężem.

*

— Co to za panie siedzą przy stole?

— Wszystkie panny na stanowiskul

— Jakto?

— Jedna jest w banku moim, druga na policji, przynajmniej dwa razy tygodniowo, a ta trzecia na stanowisku... wyczekującym. Robinfather



CZUŁOŚCI RACJONALNE.

Wszystko ma swoją rację i Rada miasta i Rada budowy pomnika Księcia Józefa; mowy ministrów, cztero-dniowa warszawska Fochenada, obiady, kolacje, rauty i wymowa p. stronniczego Strońskiego i znów mowy lekko-ciężko podskakujących lirycznie słówek-wina przedniej marki, etykiety, nalepki, łokciowe wstęgi i zezy miauczeń wzrocznych sprasowanego tłumu. Nawet święcił dzień trjumfu entuzjazm najsympatyczniejszych zasmarkanych łobuzów, siedzących na dachach kamienic, ba nawet bobki końskie miały rację, padając w międzyczasie na bruk uliczny. Nie miał tylko racji, w ogólnym uznaniu racji, Wódz Polski. Ponieważ:

1. Nie zaprosił na żądanie arcy-piesków sobiepańskich kolorowego marszałka i króla papuasów i innych galo-misyjnych, dyplomatycznych obżartuchów.

2. Nie pozwolił na uczestnictwo w pochodzie papug.

3. Zabronił wyrabiać mydła i wazeliny.

4. Rozkazał hysterji historycznej (Foch, Foch, Foch!) przemalować na kolor krwi Cud nad Wisłą i owa ociekającą purpurą plakatę-ranę rozwiesić we wszystkich domach inwalidów, aby protezy i kikuty ucieszne zamanifestowały gloryfikację narodo-wego błazeństwa.

5. Przekonał pamiątki: straceńców, mogiły bezimiennych, że balet i Drabik mają rację.

6. Kichnął w samo serce parady i generał Józef Haller dostał wielki krzyż Legji Honorowej.

7. Milczał, a Foch, z uśmiechem dobrego gracza budował strategję z okłasków polskich i pasował sympatycznych sześćioletnich nowowyzwoleńców na rycerzy Honoru.

8. Defilował i salutował ostrym błyskiem szabli księciu Józefowi.

Nie miał racji Wódz. Racja jest potrzebną, jako smaczna pularda z nieszkodliwego, świeżo skoszonego sianka. Siano ma tą własność, że konie (nie ludzie) opychają się i leżą w smrodku pachnącego aromatu, a racja, opychając się strawą ogólnej opinji-wierzga kopytami starych pozerów. Nic dziwnego, że kopnięciami racji wymierzają silne ciosy i do

swej służby muszą wprzódz naj-tęższych byczków rasowych, które podporządkując się wzorom szkoły serwilistycznej, ciągną wóz-pracę, na-ladowaną wystawą schylonych fra-ków i cylindrów, zamiatających kurz (też patryjotyczny). Uroczystość musi być okazałą. Iluminacje, ognie bengalskie, rakiety słów...

Rozkrzyczane barwy uchwałyły jed-nomyślność akcji: albo jest się mar-szałkiem bez maciejówki, albo w ro-gatej czapce-wyciągającej swoje kanty na wszystkie cztery strony świata, z prośbą o natychmiastową pomoc. Wóz-przewóz! — powiedziała racja.

Śmiał się w słońcu do rozpuku odsłonięty pomnik Księcia.

Z. Lwicz.

W Ziemiańskiej.

— Widziałeś Focha?

— Widziałem. Ograczenie mi przy-pomina greckiego Kléona.

— Fel! Jak można!

— Ano przecie Foch także jest garbarzem bydlęcych skór.

*

— Czemu córeczka pani taka za-morusana?

— Wręczała kwiaty Fochowi, Foch ją pocałował i ona teraz mówi, że do końca życia niepozwoili sobie zmyć tego pocałunku.

*

— Focha mianował uniwersytet wersalski honorowym doktorem prawa, choć należał mu się doktorat chirurgji.

— Zaco?

— Bo wyróżnął Germanji Wilusia.

*

— Więc Foch został marszałkiem polskim?

— Naturalnie po — Rataju i po Trąmpczyńskim!

Kochany „Szczutku“!

Pewien lekarz chorób kobiecych opowiadał niedawno:

— Przychodzi do mnie przekupka, z jej opowiadania wnioskuje, że chodzi o lekkie zapalenie waginy, chcę ją zbadać, ale baba taka brudna i zaniechłujona..

— Czemu pani sobie nie myje? — pytam jej.

— Czego?

— Pani wie już czego!

— Ujejku, — jaki z pana doktora świnią;

Myśli o Fochu.

Historja ma też swoją symetrię: cztery litery zerznęły Niemcom cztery litery.

*

W niemieckim Foch rymuje się bardzo dobrze na: Loch, Joch i och!

*

Niemcy boją się tylko Pana Bogal powiedział Bismark — bo nie znał jeszcze Focha.

*

Wolę rębać drzewo niż Focha — powiada Wilhelm z Amerongen.

*

Djabel nie taki straszny, jak go malują — straszniejszym jest Foch.

*

Łatwiej jest stroić fochy w Ruhrze niż z Fochem wojować.

Argumenta trahunt!

Witosowi nie łatwo przyszło odchylić się od lewicy i przejść do prawicowych stronnictw. Miał w swoim klubie co do tego wielu opozycjonistów. Ale w rezultacie i tych przekonał, tak im rzecz tłumacząc:

— Widzi-ta, bracia kochane, Polska jest jak ten człowiek z dwoma rękami, z lewicą i z prawicą, a my, chłopcy, jesteśmy w pośrodku, niby ten kałdun, co to musi baczyć, w której garści jest więcej jedzy.

Foch i Piłsudski.

Po czarnej kawie, Foch i Piłsudski zasiedli do partji szachów. Z każdym posunięciem sytuacja Piłsudskiego pogarszała się, aż stała się tak beznadziejną, że Foch go wezwał do poddania się. A gdy Piłsudski upierał się, że będzie grać dalej, Foch rzekł zniecierpliwiony:

— Panie kolego, szachownica to nie Wisła, niech pan nie liczy na żaden cud.

Dowcipna odpowiedź Witos.

Onegdaj byłem w kuluarach Sejmu świadkiem następującej rozmowy:

— Panie Wincenty — mówi jeden z posłów „Wyzwolenia“ do Witos — nie wstydziła się z waszym klubem przystępować do prawicy? Toć to srom!

— Srom na srom! — odpowiada spokojnie Witos.

Mar.



Jeszcze raz o Apolonci...

i o kłopotach Jej z D. Anzigiem.

Zdarzyło się tak, — iż owa pani *A-polonia Restituta*, o której pisaliśmy w swoim czasie, na rozległych swych gruntach, przyznanych jej tak *taskawie* w Paryżu, miała ci bardzo nie-miłego sublokatora!

Szwabisko obrzydliwe, *Dr. Anzig* się nazywał. Pokurcze to było osobliwsze, a pyskate, a stawiające się!

Na cudzej siedział ziemi, polski chleb jadł, polską wodę wiślaną spijał, ale mu wciąż niedogoda i ciągiem za bratem-swatem z Berlina się oglądał!

Dawne to były swary Apolonii z tym karzelkiem, co pruską butą brzuch se nadał i zapomniał jako go ta zacna pani wykarmiła, oddechowała, na świat niewdzięcznika wydawszy.

A narodził ci on się ze szpetnej, dziś już dawno zapomnianej (jako że i wstyd był wielki!) miłości występnej macierzy jego, lekkomyślnej i słabej niewiasty, na wdzięki twardej męskości czulej z *krzyżackim gachem*. Onego to sobie Polonia aże z włoskich stron sprowadziła i dobrości wszelakiej nadawała, by ją bronił od morskiej strony.

Nikczemnego romansu tego skutek — to ów wyrodny syn, co się nad Bałtykiem rozsiadł.

Krzyżackiego amanta mając dość, łeb mu obcięła pod Grunwaldem, dawna jego kochanka.

A mały D. Anzig w skórę dostał porządnie i czas długi cicho siedział.

Ale jak tylko Macież jego w biedę i upokorzenie popałała i na obcą służbę poszła, synalek niewdzięczny do cna o niej zapomniał i z ojcowymi krewniakami się zwąchał. A ci i tak wyzyskać go jeno chcieli, uważając maleństwo to między sobą za bastarda.

Podupadł też nieborak pod tą czułą z nad Sprewy opieką wnet na zdrowiu i wyglądzie.

Aż przyszedł wreszcie czas, że A-polonia do swej dawnej powróciła świetności, z wielkiem złych sąsiadów pohańbieniem i marnotrawne swe dziecię z nad Wisło-ujścia z powrotem do czulego przygarnęła serca.

Ale malec krnąbrny był. Swojej mowy zapomniawszy, zniemczył się i rękę, co głaskała i żywiła go, kąsać począł, zapominając, jako wielka i mocna Mać jego, jednym kłapsem poskromić może karzelka.

Ale wiadomo, wielkoludy dobrodusze są i dla drobiazgu chudego wyrozumiale.

Więc też D. Anzig (zacznie, po swojemu *Gdańskiem* zwany!) rozzuchwalił się na dobre i krzyczeć począł:

— Ja chcę tego i tamtego, a ty Apolonja nie masz mi nic do rozkazania. Nie będę cię słuchać i już! Co mi zrobisz? Ja jestem taki sam mocny, jak i ty! W Szwajcarii mam przyjaciół, poskarżę się im. Moja krzywda! Chcę do taty, do Berlina...

— Ależ dziecko, ten twój tata to łajdak! Wyzyskiwał cię lat tyle!

A u mnie masz zboże, masz bydło, wszystko ze mnie mieć możesz — czego dusza zapagnie! Sprzedasz za grubą pieniądz i zarobisz na tem nie mało — tłómaczyła dobrotliwie Apoloncia.

Ale on nie i nie i ciągle na złość robi.

Sprzyszyło się więc wkońcu to nawet tak dobrej pani. Huknie więc groźnie na niego:

— A ty smarkaczu! Do kogo się stawiasz? Nie wiesz, że mam matka rodzona twoja i takie ci mogę łanie sprawić, że odechce ci się wojować? Poczekaj gałganie mały! Kiedy ty tak ze mną poczynasz, to nie można z tobą po dobremu. Wezmę cię na post.

I srogo przykazała, że D. Anzig nie dostanie nic a nic papu, niech wodę słoną chłepcze i rybą suchą się żywi.

A gdy mu tłusty brzuszec spadnie i zreć nie będzie miał co, to wnet *spuchnie mu rura* i *Sahm* pozna, jako gdańska gęba samym krzykiem najeść się ani rusz nie może i pokornie ręce dobrej Macierzy lizać pocznie, bo przecie pusty brzuch, to najwięcej *doliga narodom!*

Tenit.

Z życia pp. Ketenhendlerów.

Noldek Ketenhendler ożenił się, jak to już donosiliśmy z panną baronówną. Przypatrzmy się, jak wygląda życie obojga.

Godz. 7. Pan wstaje. — Pani zasypia.

Godz. 9. Pan w banku. — Pani śpi.

Godz. 11. Pan w urzędzie wywozu. — Pani w łóżku.

Godz. 12. Pan w magazynie liczy towar. — Pani jeszcze śpi.

Godz. 2. Pan na wódeczce z policją — Pani z manicurzystką.

Godz. 3. Pan na giełdzie. — Pan przy lustrze.

Godz. 5. Pan przy telefonie. — Pani u fryzjerki — irytują się.

Godz. 7. Pan szimpfuje w kawiarni. — Pani shimmuje w barze.

Godz. 9. Pan zasiada do écarté. — Pani zaś w aucie chce sobie odbić za nudy.

Godz. 11. Pan układa plan paska na jutro. — Pani plan zmieszania eteru i haszyszu na dziś.

Finale.

Godz. 12. Pan i Pani zobaczyli się.

— Irenko, nudzisz się, jak widzę? *pi.*

Z listu Loli do Toli.

Moja droga! moja miła!

Usłysz nowinę. — Dostałam dymę z ministerstwa. Ten radca, com Ci pokazywała od niego różowe reformy i tuzin pończoch, dyktował mi przez telefon list do jakiegoś biskupa. Na dworze był wiatr i telefon źle się słyszało a w dodatku siedziałam Stasz-kowi na kolanach, a Ty wiesz, jaki z niego jest świntuch. To też zamiast *kónwersje* napisałam *konwulsje*, a zamiast *apodyktyczny* sypnęłam *apoplektyczny*, i tak się potem ten list rozumiał, że biskupa ma szlag trafić. Radca chciał się biskupowi podpisać z *rewerencją*, a ja go podpisałam z *rewerendą*, najgorsza zaś paskuda wyszła z tego, że radca nie może protegowanej przez biskupa Rózi przyjąć, bo ma brzydkie pismo i umie tylko stawiać kulasy. Ale to szelma Staszek musiał mi przez *l* kreskę zrobić, a ja tego nie spostrzegła i tak poszło do biskupa, a on wrócił cały list pytając, co to ma znaczyć, a potem na mnie się wszystko skrupiło. Całuję Cię, pa!

Lola.

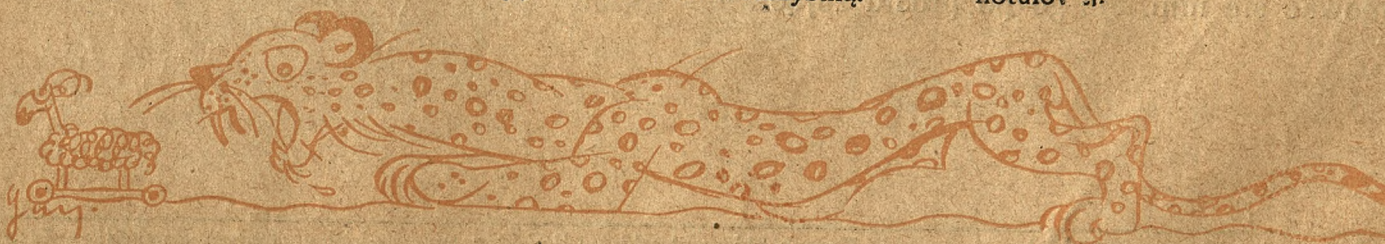
Jego pierwsza myśl.

Witos (do członków swego klubu): Fochowi ukradziono płaszcz... chłopcy, miejta Boga w sercu, ja wychodzę tera do drugiej izby, ale jak wrócę, niech płaszcz leży na stole!

Dobra kucharka.

— Jakże ty obrzydliwie gotujesz, a powiedziałaś, iż twój poprzedni państwo jedli same wytworne potrawy.

— Tak też było, proszę pani, kazali je sobie przynosić z restauracji *hotulov ej*.



Polityka Gdańska a kobiety.



A ja ci powiadam, że z Gdańskiem należy tak postępować: jak z upartą kobietą — nie zajmować się nim, ale go po prostu zająć.